

ROZDZIAŁ 1

– Halina, gdzie jest mój ulubiony krawat?!

To był nerwowy poranek w domu Sołtysa – jak zawsze, kiedy zbliżały się wybory. Sołtys czepiał się wszystkiego, czego tylko mógł, a czego nie mógł, też się czepiał, o czym domownicy dobrze wiedzieli i zawczasu schodzili mu z drogi. Każdy, kto miał choć trochę oleju w głowie, zdawał sobie sprawę, że najlepiej ojca unikać, toteż Halinka przezornie zamknęła się w kuchni i zajęła się przygotowaniami do śniadania. Wiadomo, śniadanie to najważniejszy posiłek dnia. Oprócz obiadu.

– Halina!!!

Halina westchnęła cicho, wylewając na patelnię ciasto na naleśniki.

To już przeszło dwie dekady, jak Jerzy sprawował funkcję sołtysa, która zrosła się z nim do tego stopnia, że niemal wyparła jego imię. We wsi był po prostu Sołtysem i nawet Halince zdarzało mówić o mężu „Sołtys”, choć nigdy nie zwracała się tak bezpośrednio do niego. Powinna już była się

do tego przyzwyczajaić, ale wybory odbywały się co pięć lat, miała więc prawo zapomnieć, że ten dzień zawsze wyglądał tak samo: no bez noża nie podchodź. Gdy tylko ktoś Jurka zdenerwował – co zdarzało się często, bo w takich miejscowościach jak Gołaszyn ludzie mają wyraźne inklinacje ku irytowaniu sołtysa – ten zaklinał się, że to koniec, że to ostatnia kadencja, bo człowiek tak się dla nich stara, a oni zero wdzięczności, i że nic, tylko rwać włosy z głowy. Ale nie rwał – i dobrze, bo niewiele mu już zostało, a łysina na czubku coraz śmiejiej sobie poczyniała i czasem nawet wymykała się spod kaszkietu. Poza tym prawda była taka, że Jurek kochał swoją robotę i nigdy by z niej nie zrezygnował. A ludzie kochali jego, bo przez te wszystkie lata zaskarbił sobie serca mieszkańców. Wybory były więc jedynie formalnością, o czym dobrze wiedział, a i tak na kilka dni przed zaczynał się stresować, na dwa dni przed stawał się nieznośny, a o poranku w dniu głosowania to już przechodził samego siebie. I właśnie wtedy należało go spacyfikować naleśnikiem na słodko, bo wiadomo, nic tak nie działa na Sołtysa jak porządny naleśnik z białym serem i konfiturą.

Wychyliła się z kuchni, żeby ocenić sytuację na froncie, ale Jurek szalał właśnie w sypialni, gdzie zapewne zdążył już wybebeszyć połowę szafy i właśnie przygotowywał się do wzięcia szturmem drugiej połowy.

– No toć ci go nie zabrałam! – zawołała z anielskim spokojem w głosie, zdjęła fartuch kuchenny, poprawiła włosy i otworzyła szerzej drzwi, licząc na to, że zapach naleśników ostudzi emocje Jurka.

Ostudził.

Sołtys wyłonił się z sypialni, węsząc niczym pies myśliwski na polowaniu.

– Czekaj, idź, siądź i zjedz, bo zaraz wystygnie, a ja ci go poszukam – dodała Halina.

– Kochana jesteś, Halińcia!

– No już, idź mi stąd – mruknęła, wchodząc do pokoju. – I ściągnij koszulę do śniadania, bo jak cię znam, to cały się uświnisz, a ja ci drugiej prasowałam nie będę – upomniała małżonka, po czym rozejrzała się po sypialni.

Myślała, że będzie gorzej, ale co też mu przyszło do głowy szukać krawata w szufladzie z bielizną? Na zasłanym łóżku walały się skarpety oraz podkoszulki, a na dywanie leżały swetry. Tak, te same, które nie dalej jak tydzień temu pieczołowicie złożyła i wcisnęła na najwyższą półkę, bo wiadomo, wiosna idzie, trzeba zrobić miejsce w szafie na lżejsze ubrania. Westchnęła tylko i pokiwała głową, no bo czego innego mogła się po nim spodziewać, w końcu знаła go już trochę. Dwadzieścia pięć lat po ślubie byli, a wcześniej przecież jeździł do niej w kawalerkę, to i pewnie ze trzy dyszki im zaraz pykną. A kto ze ślubnym tyle lat przeżył, ten w cyrku się nie śmieje. A zwłaszcza z takim gagatkiem jak Sołtys. Halinka kochała go całym sercem, ale za jej anielską cierpliwość do niego mogłaby dostać od prezydenta jakiś order. Co najmniej.

To dobry chłop, ale zakręcony, powtarzała czule, doskonale wiedząc, że bez niej ów chłop dawno by zginął. On też o tym wiedział, tylko oczywiście nigdy by się do tego nie przyznał.

– Proszę, twój krawat. – Weszła do kuchni, podała mężowi zgrabę i siadła do śniadania.

Jurek posłał jej znad talerza rozanielone spojrzenie. Zawsze ubóstwiał żonę – te jej piękne kręcone włosy, które potajemnie farbowała na czarno, i kobiece kształty, które kiedyś

doprowadzały ją do szału i w rezultacie doprowadziły nawet do klubu fitness (na cały miesiąc, dłużej nie wytrzymała) – a w tym konkretnym momencie miłość jego nie znała granic.

– Ooo... A dzie on był?

– Leżał tam, gdzie zawsze. Ty w ogóle tam zagłędałeś? – dodała już lekko podirytowana.

– No zem przegrzebał całą szafę i nie było. Diabeł ogonem nakrył.

– Dobra, jedz, bo się do kościoła spóznimy.

– A dzie Marcinek? – spytał Sołtys, patrząc na żonę tak, jak się patrzy na specjalistów od odnajdywania rzeczy zagubionych.

Halinka odkroiła sobie kawałek naleśnika i wzruszyła ramionami.

– Wstał rano i pojechał do Andzeliki. Mówił, że ma coś do załatwienia.

– W niedzielę? – Mąż łypnął na żonę podejrzliwym okiem. – A co on dzie dzisiaj najwięcej nazałatwia? Toć urzędy, sklepy i wszystko zamknięte.

Owo „wszystko” w Gołaszynie sprowadzało się zaledwie do jednego sklepu, który właściciel, Grochowski, mógłby sobie do woli otwierać, kpiąc w żywe oczy z niedziel niehandlowych. Gdyby jednak to zrobił, miałby na pieniu z księdzem proboszczem, czego z oczywistych względów wołał uniknąć. Inaczej rzecz się miała z Łukowem, gdzie mieszkała Andzelika, dziewczyna Marcinka – miastowi żyli po swojemu i nie oglądali się na księży proboszczów.

– Oj, nie wiem, Jurek. Wyleciał szybko, mówił, że potem pogadamy. Przyjadą na obiad we dwójkę, to zapytasz. I coś tak wyskoczył z tym urzędem? – Tym razem to Halinka popatrzyła na niego podejrzliwie i trzeba przyznać, że jej wyszło

to lepiej. – Jużes tak tymi wyborami przesiąknięty, że jak kto co ma do załatwienia, to tylko w urzędzie?

Mąż taktycznie się wycofał i chętnie schowałby się za sto-
sem naleśników, tyle że zdążył je już zjeść.

– No niech tam. – Machnął ręką. – Aby tyko zagłosować
na mnie nie zapomniał pójść.

Halina wzniosła oczy do nieba, odliczając w duchu minuty
dzielące ją od ogłoszenia wyników. Nie odezwała się ani sło-
wem, ale w tym też była lepsza od niego, bo kiedy ona mil-
czała, milczała znacząco.

– Oj, zem żartował. – Jurek zreflektował się po chwili. – No
dobra, już się nie bocz na mie. A tak w ogóle, to zapomniał
zem ci powiedzieć, proboszcz mie ostatnio do siebie wezwał.

Halinka zmrużyła powieki. Wydało jej się to cokolwiek
podejrzane.

– Proboszcz? Kiedy? Gdzie? Po co? – zarzuciła małżonka
serią pytań.

– No jak dzie? – zdziwił się. – Do siebie przecie, na pleba-
nię. Byłem jakoś trzy, cztery dni temu.

– I czego chciał?

To pytanie wcale nie było od rzeczy, gdyż wiele można by
powiedzieć o proboszczu, ale nie to, że trwonil czas na czcze
pogaduszki.

– A tak pogadać... – Sołtys zmieszał się znienacka.

Żona posłała mężowi spojrzenie, od którego w gardle sta-
nął mu ostatni kęs naleśnika.

– Młody, jakby tak zrobił, tobym uwierzyła, bo ten nowy
wikary to grzeczny, ale proboszcz w życiu bezinteresownie by
nie zadzwonił. Mów, czego chciał.

Jurek wiercił się przez chwilę na krześle, jakby rozważał,
czy postawić się żonie, ostatecznie jednak zwyciężył rozsądek.

– Oj, podpytać chciał, czy żem nie słyszał może na wsi, że stary Krasuski albo Witek Goławski nie chcą sprzedać działek tam za rzeką.

Halinka z dezaprobatą pokręciła głową.

– Ależ to jest interesowna gnida! I co mu powiedziałaś?

– No to ja mu żem prawdę powiedział, że ja tam nie wiem, że to nie moje, to się nie interesuję, ale żem tam kiedy słyszał, że Witek przy piwie pod sklepem mówił, że jakby mu kto uczciwie za to dał, to sprzeda w cholerę, bo na cóż mu to, tylko trawą zarosło. No co? – dodał szybko, widząc spojrzenie żony. – Ale no, Halińcia, to przecie pół wsi może słyszało, jak on to rozpowiadał. To nie musi być wcale wiadomo, że ksiądz wie to ode mnie.

Niczym instynkt zadziały lata działalności społecznej i nierozzerwalnie z nimi związane tłumaczenie się zarówno przed wójtem, jak i przed mieszkańcami. Co jak co, ale Sołtys zdążył się już przyzwyczaić, że nieustannie ktoś patrzy mu na ręce i wytyka choćby najmniejszy błąd. Nawet wyrwany z głębokiego snu potrafily się wytłumaczyć ze wszystkiego przed całym gremium mieszkańców Gołaszyna. No, chyba że chodziłoby o żonę. Wystarczyło jedno chłodne spojrzenie, jeden grymas na jej twarzy, by wiedział, że cokolwiek powie, jest już po ptakach.

– No i? – rzuciła Halinka, domyślając się, że to na pewno jeszcze nie koniec.

– No i się ucieszył z tej informacji i zapytał, czy starego Krasuskiego mie się uda namówić, aby też sprzedał.

– Ta... – prychnęła. – Stary Krasuski prędzej do grobu weźmie, niż komu ojcowiznę sprzeda.

– O to, to – potwierdził skwapliwie. – To samo mu żem powiedział.

– Ale na nic się nie zgadzałeś?

– No ja go żem zapytał, a na co mu ta ziemia, to on spojrział tyko na mie i powiedział, że nie dla niego, ale piniondz ładny może z tego być. Że on to i na wymianę dachu by miał, a i na nowe organy by co jeszcze zostało. Nam też by coś wpadło... – dodał półgębkiem, bo dostrzegł spojrzenie żony, a nie w ciemność był bity i zdążył już załapać, że powinien się przymknąć. Niestety za późno.

– Czyś ty oszalał?! Wchodzić w jakieś lewe interesy z proboszczem?! – Halinka się zagotowała.

– Nieee. Ja mu żem powiedział, że to nie moje, niech idzie do Krasuskiego, pogada. Co mie tam do jego pola przecie. Przez chwilę to nawet żem myślał, że piniondz by się przecie przydał, ale...

– Ale mam nadzieję, że nic nie podpisywałeś ani nic nie załatwiałeś w tej sprawie?!

– No nie. Zapytałem go tyko, czemu to ja mam załatwiać ze starym Krasuskim. To powiedział tyko, że mamy działkę, te, co trzymamy dla Marcinka, że się może kiedy tam pobuduje, po sąsiedzku z jego działką. No i że by można sprytnie i bez podejrzeń go namówić, że może my tam chcemy większą mieć, bo się dwie połączy, że Marcinek duży już, pannę ma i się będzie budował. No a potem znajomy proboszcza ją od nas odkupi i jeszcze na niej zarobim – opowiedział ze szczegółami Jurek, ale jako że twarz małżonki znów ze złości nabrała rumieńców, dodał szybko: – Ale żem się oczywiście nie zgodził! No jak Boga kocham, Halińcia, nie zgodziłem się!

– Sprytnie to sobie wykombinował, nie ma co. On w białych rękawiczkach, a cała wieś by nas na języki wzięła, że staroego chłopinę ograbiliśmy z ojcowizny. A tak w ogóle to po

co księdzu tyle działki? – dociekała Halinka, której rumieniec jakby zbladł.

– A nie wiem, ja żem nie pytał. Może dla tego znajomego. Ale tyle działek w okolicy i to lepszych, to nie wiem, czemu akurat na te się uparł.

– Bo miał w tym interes – odrzekła małżonka, po czym zerknęła na niego łaskawszym okiem. – Dobrześ zrobił! Kto wie, co to za szemrane interesy i z kim on robi. A tobie najbardziej potrzebne teraz jakieś afery i ciągnięcia po sądach. Dobra, kończ, ubieraj się i lecim, bo się spóźnim na sumę.

Zaaferowany nawet nie zauważył wcześniej, że na talerzu została połówka naleśnika. Zjadł ją na dwa kęsy i popijając kawą, zaczął wkładać koszulę.

– Zawiążę ci jeszcze krawat i wychodzimy – ponaglała Halinka. – I nie sprzątaj po śniadaniu. Wróci się, to się zmyje, teraz nie ma czasu.

Po kilku minutach byli już gotowi do wyjścia, choć żadne z nich jeszcze nie zdawało sobie sprawy, że będzie to bardzo długi i intensywny dzień.

ROZDZIAŁ 2

Parking pod kościołem pękał w szwach, przez co niejedni zdążyli jeszcze solidnie nagrzeszyć myślą, mową, a nieradko i uczynkiem, zanim uklęknął przed ołtarzem. Niebiosa regularnie zsyłały mieszkańcom Gołaszyna sposobność, by oddać się zakusom diabła, a następnie oczyścić duszę w konfesjonale, gdyż proceder ów odbywał się niezmiennie każdej niedzieli.

– Cholera jasna, tu bym stanął, gdyby ten się pary centymetry przesunął! – pieklił się jak zawsze Sołtys.

– Jurek! Do kościoła jedziesz, ogarnij się! – mitygowała go jak zawsze żona.

– Oj, jadę, jadę, ale to nie na moje nerwy tu zaparkować. O, takim to bym odbierał prawo jazdy, jakbym mógł – sarknęła na widok kierowcy, któremu przed ich nosem udało się wcisnąć w szparę między dwoma autami.

Zazwyczaj zanim z ust Sołtysa zdążyły paść mniej lub bardziej wymyślne inwektywy pod adresem innych zmotoryzowanych, Halinka znajdowała wolne miejsce. Tak jak i teraz.

– O! A może tu, koło tego czerwonego?

Zmrużył oczy, kręcił głową na boki i cmokał, zastanawiając się, czy się zmieści.

– Czekaj, może wjadę – mruknął w końcu. – To weź wyśiądź, bo tu ciasno i drzwi poobijasz, i mie trochę pokierujesz.

Halina wysiadła, ledwo omijając kałużę, ale już nie chciała zwracać mu uwagi, bo i tak od rana miał muchy w nosie. Wołała uniknąć kolejnych komentarzy i mądrości ze strony mężulka. Ten wychylił głowę przez otwarte okno.

– Jeszcze kawałek mogę? – zapytał.

– Jeszcze trochę, jeszcze, jeszcze... STOP!

Jurek zadowolony wygramolił się przez drzwi pasażera, bo stanął tak blisko drugiego samochodu, że ze swojej strony nie wyściubiłby nawet nosa.

– Krawat se popraw, boś go całego zmechrął, jak żeś wysiadał – fuknęła Halina, choć czule, skorygowała stylizację męża i ruszyli w stronę kościoła.

Byli już i tak na styk, szli więc zwawo, coby się nie spóźnić, bo jak to mówiła zawsze Halińcia: „Potem każdy patrzy i se myśli: co oni do roboty mieli w niedzielę, że nawet na dwunastą się do kościoła spóźniają?”. Trzeba dodać, że w Gołaszynie ludzie wiedli spokojne, proste życie i nic ich tak bardzo nie interesowało, jak to, co się dzieje za drzwiami sąsiadów.

– Dzień dobry, panie Gołowski! – Sołtys uśmiechnął się serdecznie do jednego z mieszkańców wsi, unosząc przy tym kaszkiet, choć lekko, by zanadto nie eksponować coraz większych zakoli.

– Dobry – rzucił od niechcienia starszy mężczyzna, mierząc przy tym sołtysostwo z góry na dół chłodnym spojrzeniem, po czym się odwrócił.

Jurek popatrzył na Halińcię lekko zmieszany.

– A tego co w dupę ugryzło?

– Skąd mogę wiedzieć? – Wzruszyła ramionami. – Może znowu się pożarł z babą i burczy na wszystkich dookoła.

Goławskiemu czasem się to zdarzało, choć przy Halince na ogół się pilnował. Nie chodziło wcale o funkcję pełnioną przez jej męża, ale o jej krewki charakterek. Raz tylko się zapomniał i nawarczał na nią w sklepie, a że nie pozostała mu dłużna, odtąd na jej widok już z daleka krzyczał „dzień dobry!”

– Dziwne – mruknął Sołtys. – Jeszcze mu żem w zeszłym miesiącu pomógł załatwić taki wniosek w gminie, to dziękował, z flaszką przyszedł. No, nieładnie...

– Nie przejmuj się, przejdzie mu. Komórkę żeś wyciszył?

Zanim zdążył odpowiedzieć, pod pantoflem poczuł coś miękkiego i wtedy właśnie po raz pierwszy owego felernego dnia miał przebłysk, że coś tu jest grubo nie tak.

Zmełł w ustach przekleństwo i rozpoczął wygibasy, żeby wyczyścić podszewę z psiego gówna. Tarł nią zapamiętałe o kępkę trawy, myśląc o tym, co najchętniej by zrobił z właścicielem owego zwierzaka. A kiedy już dobrnął do sceny, w której pakuje go do beczki nabitej od wewnątrz gwoździami, usłyszał zirytowany głos małżonki:

– Z tobą jak z dzieckiem. Długo jeszcze?

– Dobra, lepiej nie będzie – westchnął ciężko. – Idziem!

W małych parafiach jest tak, że w kościele każdy ma przypisane miejsce. Nie chodzi tu oczywiście o wykupienie miejscówki, bardziej o rezerwację przez zasiedzenie. Ma to swoje plusy – po pierwsze nikt się nie kłóci o ławkę, po drugie większość kobiet potrafi jednym tchem wymienić, kto gdzie siedzi, na którą godzinę przychodzi, jak często bywa i w co ubrany. Wielce to ułatwia pokościelne konwersacje, podczas których jedne gołaszanki obrabiają tyłki drugim, zarówno

tym podczas mszy obecnym, jak i nie. Oczywiście te nieobecne zdecydowanie kreatywniej działają na wyobraźnię plotkarek. Nie chodzi jednak o same plotki, broń Boże! To centrum informacji, zarządzania empatią oraz rozdzielania pomocy sąsiedzkiej:

„Gieni nie było. Wiecie, co z nią? Może wróć i przetelefonuję do niej, bo coś się musiało stać. Gienia sumy by nie opuściła!”

„A doktorowa jakie ma włosy! I jaka wysztafirowana. Ona chyba kościół z domem publicznym pomyliła”.

„A bo ona wczoraj na weselu była u chrześnicy, słyszałam, jak mówili jakiś czas temu na zapowiedziach. Była na jedenaście u fryzjera u Krysi córki, pewno nie umyła włosów i jeszcze jej się trzymają”.

Przy okazji dni świątecznych, kiedy to do mieszkańców Gołaszyna zjeżdżali goście, dochodziło czasem do zamieszania. Niejednokrotnie jeszcze przed rozpoczęciem mszy ludzie wszczynali awanturę o to, że ktoś kogoś podsiadł. Potem się okazywało, że do ktosia przyjechała rodzina ze Świdnika i chcieli sięść razem, dlatego zajęli miejsce kogosia, który musiał się przesiąść. Ale że Bożenka Radomska wyjechała na drugi dzień świąt do córki do Warszawy, bo ta w zeszłym miesiącu urodziła i matka pojechała pomóc przy małym, pogotowała i im zawieźli, to zwolniło się miejsce dwie ławki dalej, więc nie było tak źle.

Tak, jeśli chodziło o źródło wszelakich informacji, Google przy Gołaszynie mógł się schować. Jak ktoś chciał się dowiedzieć, kto z kim, kiedy, jak i do tego kilka pokoleń wstecz, nie potrzebował żadnego internetu – wystarczyło wypytać kobiety ze wsi. Tak też właśnie zawsze czynił Sołtys i jeszcze nigdy źle na tym nie wyszedł.

Tego dnia pewnie wkroczył do kościoła z małżonką u boku i wystarczył mu rzut oka na ławki, by wiedzieć, że każdy siedzi na swoim miejscu. „I dobrze, wszak są wybory”, pomyślał. Czuł na sobie wzrok mieszkańców i słyszał szepty, jednak nie był tym jakoś zdziwiony – w końcu o mały włos spóźniłby się na mszę.

– A nie mówiłem, że zdążym – wyszeptał do ucha Halince.

– Ledwo na styk!

– Wyliczone. – Uśmiechnął się pod nosem, zasiadając w ławce.

O ile jednak ani spojrzenia, ani szepty nie budziły w nim niepokoju, o tyle Halinka wyraźnie czuła, że coś wisi w powietrzu, nie wiedziała jednak co. Wybory? Nie, raczej nie. Musiało chodzić o coś innego. Zawsze miała podzielną uwagę, toteż jedną częścią umysłu uczestniczyła we mszy, a drugą zastanawiała się nad źródłem owego niepokoju, który coraz śmieiej zaczynał jej doskwierać. Zerknęła na Sołtysa, ale on wydawał się zasłuchany w słowa proboszcza, a przynajmniej nie spuszczał z niego oka. Gdy z kolei zerknęła na proboszcza, odkryła, że i ten nie spuszcza oka z jej męża. Wielce to było zastanawiające...

– Jak mogliśmy usłyszeć w dzisiejszym Słowie Bożym – proboszcz rozpoczął kazanie, spoglądając prosto na Sołtysa, jakby byli w kościele zupełnie sami – ziarno nie męczy się ani nie jęczy, aby się zmienić i wydać owoc. Z nasion jabłoni wyrasta piękne drzewo, a ono daje nam owoce. W taki sam sposób bez najmniejszego wysiłku Słowo Boże będzie mogło zmienić nasze życie na lepsze. Jednak do tego potrzebny jest dobry gospodarz. Gospodarz, który potrafi elastycznie dostosować się do warunków, które w danym momencie panują, a nie zaparcie iść w swoje.

Sołtys, nie odrywając wzroku od księdza, nachylił się do żony i wyszeptał:

– O co mu chodzi?

– A bo ja wiem, to tyś z nim rozmawiał ostatnio.

– Zmiany! – zagrzmiał proboszcz, zwracając się tym razem do wszystkich wiernych. – Moi drodzy, nie bójmy się zmiany na lepsze! Nawet w najlepszym małżeństwie po jakimś czasie potrzebna jest zmiana! Nie martwcie się, nie mówię o zmianie małżonka! To by dopiero było, gdyby ksiądz z ambony namawiał do rozwodów.

Po tych słowach wszyscy się roześmiali. Wszyscy oprócz Halinki i Sołtysa. Jego twarz z minuty na minutę przybierała coraz bledszy kolor. Zdawał sobie sprawę, jaki posłuch wśród mieszkańców ma stary ksiądz i jak to kazanie może wpłynąć na wyniki wyborów. Rzecz jasna – negatywnie.

– Życie, moi drodzy, to zmiana. W małżeństwie najpierw jesteście rodzicami, z czasem jednak zmieniamy się w dziadków. Ci sami, ale zarazem trochę inni – kontynuował ksiądz. – Wszystko się zmienia i nie ma się czego bać. Dlatego dziś, w tak ważnym dla naszej miejscowości dniu, pozwolę sobie zacytować słowa najwspanialszego Polaka: „Nie lękajcie się!”.

– A to gnida! Jeszcze papieża w te swoje zagrywki wciąga – wyszeptał przez zaciśnięte zęby Sołtys.

Wzburzona Halinka już zaczęła zbierać torebkę z ławki, gotowa demonstracyjnie opuścić kościół, ale małżonek powstrzymał ją w ostatnim momencie.

– Tak nie polepszysz mojej sytuacji. Ludzie wezmą nas na języki.

– Po tym, co powiedział ten zawistny klecha, i tak nas wezmą – odparła, a on, jak zawsze w takich przypadkach, pomyślał, że żona ma rację, choć czasem chciałby, by nie miała.

Uśmiechnięty proboszcz kontynuował:

– Ale i podziękować należy za wszystko dobre, co zostało zrobione. Tak samo jak za to, co złe, sięść i rozliczyć. Nic nie trwa wiecznie i proszę was, aby nie kierować się sympatią osobistą, lecz dobrem nas tu wszystkich zgromadzonych. Rozejrzyjcie się dookoła. Ta zmiana może być dla was lepszym jutrem. Amen.

Zamiast tradycyjnego „Bóg zapłać” rozległy się gromkie brawa. Niektóre kobiety ze wzruszenia sięgały nawet po chusteczkę, coby wytrzeć łzy z policzka.

– Jutro z rana napiszę list do kurii ze skargą na to, że proboszcz parafii w Gołaszynie miesza się w politykę – pieklił się Sołtys, wciąż zakładając, że posada, której zawdzięczał swój przydomek, następnego ranka nadal będzie należała do niego.

Wraz z małżonką i tłumem wiernych, którzy teraz jakby nie zwracali na niego uwagi, skierował się do wyjścia, po czym udał się prosto do auta. Wsiąść musiał oczywiście od strony pasażera, bo kierowca tego czerwonego nie raczył jeszcze odjechać. Potem poczekał, aż Halinka zajmie miejsce, choć najchętniej wcisnęłaby gaz do dechy. W samochodzie panowała grobowa cisza. Jurek wciąż rozmyślał nad antyreklamą, którą zaserwował mu proboszcz w tak ważnym dniu, a Halinka strategicznie postanowiła się nie odzywać. Wiedziała, że w tym momencie każde słowo jedynie rozżłościłoby małżonka. Kiedy w końcu opuścili parking przykościelny, zapytała nieśmiało:

– To zajężdżamy teraz zagłosować czy się przespacerujemy po obiedzie?

– Teraz! – huknął. – Chcę mieć to z głowy. Już mam dosyć tych wyborów...

Biedny, gdyby wiedział, że to, co za chwilę zobaczy, jeszcze bardziej go podłamię i podważy jego wiarę w kolejną kadencję, z pewnością wróciłby do domu, a tak pojechał prosto ku swemu przeznaczeniu.

ROZDZIAŁ 3

Wybory na sołtysa i członków rad sołeckich odbywały się w szkole, podobnie jak każda większa impreza, zaś plac szkolny stanowił swojego rodzaju centrum rozrywkowe Gołaszyna. Nic dziwnego, wszak część budynku została udostępniona na potrzeby miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej – urządzono tam strażnicę z prawdziwego zdarzenia. Stało się tak dzięki życzliwości dyrektora, który jednakże zaznaczył od razu, że jak zobaczy flaszki albo – co gorsza – jakiś uczeń znajdzie butelkę po wódzie, to pogoni strażaków bez zastanowienia. Nie pogonił wyłącznie dlatego, że druhowie OSP mieli i starą siedzibę, która służyła wyłącznie uciechom.

Nie żeby dyrektor osobiście miał problem z uciechami – jego zdecydowanie w tej kwestii wynikało raczej z doświadczenia, gdyż jeszcze nie tak dawno w szkolnej sali sportowej wyprawiano wesela i chrzciny. Było to zdecydowanie tańsze rozwiązanie niż wynajem remizy w innej miejscowości za milion monet. Pani Zosia, miejscowa kucharka, która na co dzień gotowała dla dzieciaków w szkole, w weekend karmiła

weselników. Każda świeżo zaręczona para najpierw uzgadniała termin z Zośką, a cała reszta – ksiądz, orkiestra i kamerzysta – musiała się dostosować. Człowiek wiedział, że to najlepsza kucharka w okolicy i nie będzie wstydu sprosić gości, a i sam był pewny, bo nieraz się u niej stołował przy różnych okazjach. W dodatku pani Zosia miała obrotne siostrzenice, które dorabiały jako kelnerki, tak że wszystko było jak w najlepszej sali bankietowej. Lokalny biznes kwitł, szkoła dorabiała i nikt nie musiał się zapożyczać, żeby weselić – krótko mówiąc: lepiej być nie mogło. Niestety, czasem w poniedziałkowe poranki podczas lekcji WF-u uczniowie znajdowali niedopitą flaszkę schowaną za kaloryferem. I tak skończyły się dobre czasy, pani Zosia zaczęła dorabiać po okolicznych remizach, a szkoła wynajmowała salę tym, którzy w weekendy chcieli pograć w nogę czy w siatkówkę.

Tego dnia jednak sala sportowa w Gołaszynie niczym grecka agora stała się miejscem życia politycznego – tutaj wszak miały się dokonać boskie wyroki i zapaść decyzje, które zmienią losy Gołaszyna na najbliższe lata. Oczywiście w związku z wyborami.

– A co tu się, do cholery, dzieje? – zapytał żony podenerwowany Sołtys, widząc wypełniony po ostatnie miejsce parking szkolny. – Dziś jest jaki festyn? Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

– Spokojnie, może jakiś mecz grają z tyłu.

– Chyba z Barceloną! – prychnął. – Przecie nigdy tu nie było tyle samochodów!

– Patrz. – Halina wskazała palcem sklep. – A u Grochowskiego co się dzieje?

Grochowski posiadał sklep zwany Grosikiem – jedyny sklep w całej wsi. Można tam było zaopatrzyć się we wszystko,

od wędlin począwszy, a na gwoździkach skończywszy, oraz oddać się debatom publicznym sownie zakrapianym alkoholem. Było to bowiem zarazem miejsce spotkań piwoszy, którzy nierzadko lubili zrobić sobie posiadówkę, ponarzekać na politykę i relacje z małżonkami. Niech nikogo nie zmyli nazwa – w Grosiku tanio nigdy nie było. Marża była tak wysoka, że kiedy w styczniu 2021 skoczył podatek cukrowy i na Polskę spadło widmo dużej butelki coli za dyszkę, mieszkańcy Gołaszyna spali spokojnie, bo u Grochowskiego tyle kosztowała już kilka lat wcześniej. Ten emerytowany strażak, który jeszcze podczas służby otworzył biznes z małżonką, od lat skupiał się już wyłącznie na Grosiku. Nie od dziś było wiadomo, że ma zapędy polityczne. Kilkukrotnie bez powodzenia startował do rady gminy, przebąkiwał też, że może kiedyś spróbuje swoich sił w wyborach na wójta, a teraz postanowił zaważczyć o stołek sołtysa.

– A to chuj! – Jurek się zdenerwował, bo właśnie dotarło do niego, o co tutaj chodzi.

– Nie bluzgaj! Co się stało?

– Grochowski do samego końca nic nie powiedział, że będzie kandydować. Nawet ciszy wyborczej nie umie zachować... Spójrz tyko. – Pokazał palcem wielkie prześcieradło rozpięte przed drzwiami budynku i Halinę zamurowało, gdy zobaczyła napis: 17 LAT SKLEPU GROSİK.

– Okrągła rocznica – mruknęła z przekąsem.

– A to dziad! A jeszcze mu pamiętam, jak te kilkanaście lat temu przychodziła ta nędza do mnie z koniakami! – zżymał się Sołtys. – Prosił, ugadywał, żeby z nim do gminy podjechać, pomóc załatwić koncesję i pozwolenie na sprzedaż alkoholu, bo przecie od niego do szkoły to mniej niż sto metrów. I co?! Dla picu dróżkę wyznaczaliśmy jak na lotnisku,

że w linii prostej metrów siedem, ale zawijasem kilkadziesiąt. Wiadomo, że i tak kaźden jeden bokiem chodził, ale żeby podkładka do gminy była. To mie po rękach całował, że jestem dobrodziejem. Chciał mieć płot w płot ze szkołą sklep, gdzie może piwo sprzedawać chłopom ze wsi? To ma! A tera mi wbija sztylet w plecy! Ale gnida!

Halince żał się zrobiło męża, tym bardziej że sama dobrze pamiętała podchody Grochowskiego i te jego umizgi do Sołtysa.

– Nie martw się – pocieszała. – Co, ty myślisz, że jednego grilla urządzi i ludzie zapomną, co przez tyle lat dla nich zrobiłeś?

Jurek już się zbierał do odpowiedzi, ale w tym samym momencie zza płotu rozległ się głos:

– Jurek, Halina, cześć! Wy na głosowanie? Zapraszam na jednego! A, i dobre winko mam. Znajomy z Mołdawii nawiózł, to wzięłem skrzynkę. W sam raz na dzisiejsze świętowanie!

Sołtys spojrział w tamtym kierunku i z trudem powstrzymał się od splunięcia na widok Grochowskiego, który cały aż promieniał – pewnie dlatego, że słońce odbijało się od jego sztucznej szczęki.

– Obejdzie się – odburknął. – A ty co, Waldziu, myślisz, że kiełbasą sołtysowanie se zapewnisz?

Grochowski machnął lekceważąco ręką.

– A tam zapewnię od razu. – Pokiwał siwą głową. – To tylko urodziny sklepu, no przecie żem nie wiedział, że wybory wypadną właśnie dziś. No gdzie ja tam na sołtysa. Przecie i tak wygrasz. Ja to tylko o tak, dla ludzi żem zrobił.

– Dobra, dobra! Bajerować to ja, a nie mie. Myślisz, że nie wiem, o co ci chodzi? Bawta się, póki możeta. Zobaczym, kto się będzie bawił, jak głosy zliczą.

Halinka delikatnie, acz stanowczo włożyła mu rękę pod ramię.

– Jurek, idziemy – szepnęła.

– No, idźcie, idźcie – rzucił Grochowski. – Bo tu autokar musi nakręcić.

Zdziwiony Sołtys odwrócił się i ujrzał pełen ludzi autokar właśnie torujący sobie drogę przez szkolny parking.

– A oto i moi wyborcy – ciągnął wesołym głosem właściciel Grosika. – Mieszkają na obrzeżach wsi, nie interesują się polityką, ledwo wiążą koniec z końcem, to żem sobie pomyślał, że chociaż w ten jeden dzień w roku zasługują na trochę radości. A i wałówki dostaną do domu, jeśli będą chcieli przy okazji zagłosować. Przecież nie będą specjalnie rowerem jechać. Trzeba pomagać, Jerzy. Ty kiedyś pomogłeś mnie, a teraz ja pomagam innym. Bezinteresownie oczywiście.

„Oczywiście”, pomyślał Sołtys i poczuł, jak do gardła podchodzi mu fala żółci.

– Ty to byś się dogadał z naszym probosz... – zaczął, ale nie dane było mu dokończyć, gdyż w tym momencie posłyszał doskonale znany mu głos.

– Szczęść Boże naszemu dobrodziejowi!

Znał ten głos aż za dobrze. Nie dalej jak pół godziny temu słyszał go podczas kazania.

Proboszcz wysiadł właśnie z autokaru i pospieszał resztę niczym opiekun i organizator wycieczki szkolnej.

– Toć życia mi zabraknie, aby panu Waldkowi podziękować za to, co robi dla tych starszych, schorowanych osób – kontynuował ksiądz, przytulając jakąś starowinkę, która wysiadła tuż za nim. – Inni o nich zapominają! Niekiedy nawet rodzina zapomina. A tu takie serce. Po stokroć dziękuję w imieniu moich parafian!

Sołtys obrzucił szybkim spojrzeniem przybyłych z proboszczem – wyglądali na takich, co to ledwo stoją, ale długo-pis w rękę z pewnością dadzą radę utrzymać. Wyobraził sobie, jak stawiają × przy nazwisku tego przebrzydłego sprzedawczyka, i dokonał w głowie szybkich obliczeń. A potem zbladł.

– Szuja, jakich mało – wyszeptał do małżonki i choć nie do końca było pewne, czy mówi o proboszczu, czy o Grochowskim, Halinka w mig pojęła, że mąż ma na myśli obu.

– Uszanowanie moje, panie Jurku! – Proboszcz uśmiechnął się fałszywie. – Musi być pan dumny, że w pana wsi są tacy dobrzy ludzie. No cóż, władza obojętna na swoich mieszkańców, to tylko Bogu dziękować, że mamy jeszcze w Gołaszynie ludzi dobrej woli, którzy otworzyli na nich serca. Jedni wolą kupować sobie nowsze samochody, a drudzy...

Sołtys przestał słuchać, gdy tylko pojął, do czego tamten pije. Do używanego auta, które z Halinką kupili po tym, jak ich piętnastoletni passat wyzionął ducha.

– Ja nikomu w portfel ani do garażu nie zaglądam – ciągnął niestrudzenie proboszcz – ale elewacje pan wymieniał w zeszłym roku, a teraz zmiana samochodu... Ciekawe, skąd pan na to wszystko masz. – Zrobił efektowną pauzę, rozejrzał się wokół, po czym dodał głośniejszym, najwyraźniej obawiając się, że starsi ludzie mogli nie dosłyszeć: – Powodzi się tym władzom naszej wsi, oj, powodzi. Ale one wszystko dla siebie, aby więcej się nachapać. A te nasze podatki, które sołtys zbiera co roku, to ciekawe, na co idą...

– Jurek – szepnęła Halinka, ściskając mocniej ramię męża. – Ja cię proszę.

Niestety Jurek nie wiedział, o co prosi go żona, gdyż w ogóle jej nie usłyszał. W uszach mu szumiało, krew krążyła w żyłach coraz śmielej, a szczęka sama się zaciskała.

– Sam ciężko pracuję i nikt mie na to nie dał – wycedził. – Ale jak mie kiedyś będzie stać na takiego meška, co proboszcz ma w garażu, to bardzo chętnie z ludźmi dzielić się zacznę. No i ciekawym, na co idą te pinionżki, co ksiądz na dach od kilku lat zbiera. Bo paliwko drogie... – Uśmiechnął się złośliwie i odwróciwszy się na pięcie, ruszył w kierunku wejścia do szkoły.

Halinka orbitując wokół niego, zdążyła jeszcze posłać proboszczowi „szczęść Boże!” i przy okazji zarejestrować jego minę.

– Dobrześ mu powiedział. W pięty mu poszło – oznajmiła mężowi. – Pewnie sam maczał palce w tym, żeby wybory wypadły tym razem w niedzielę. Akurat po sumie – wycedziła, po czym spojrzała na Jurka. – Ale nie robiłabym sobie nadziei. Ci ludzie, których tu nawiózł, są starej daty, wpatrzeni w niego jak w obrazek. Urobi ich, jak będzie chciał. Ważne, że inni wiedzą, coś dla nich zrobił.

Sołtys otworzył drzwi i puścił przodem małżonkę, a gdy zniknęli w szkole, proboszcz pomasaował sobie szczękę, bo już zaczęła go boleć od tego zaciskania zębów. Zmełł w ustach przekleństwo, przypominając sobie, jak Sołtys przy wiernych zarzucił mu defraudowanie pieniędzy ze zbiórki na dach, pokornie przeprosił w duchu Boga i zerknął na Grochowskiego, który mylnie odczytał jego spojrzenie.

– To co, może ksiądz się skusi na kielbaskę? – zapytał. – Bo karkówka to jeszcze trochę potrzebuje.

– Nie chcę żadnej kielbaski, durniu – wycedził proboszcz. – Jadę z kierowcą po kolejną turę osób! Tutaj każdy głos się liczy! – Ruszył z powrotem do autokaru, ale zatrzymał się po chwili. – Aha. – Przypomniał coś sobie. – I masz mi tu się nie nachlać z ludźmi. Ty masz być wzorem obywatela. Jak wrócę i będziesz się zataczał, to nogi z dupy powyrywam!

Grochowski pokornie przytaknął i stał grzecznie, czekając, aż kierowca wykręci pod szkołą. Nie mógł dosłyszeć, co mówi ksiądz, ale przez okno widział jego poruszające się wargi.

– Już ja ci pokażę – mruzczał proboszcz, wpatrując się nienawistnym spojrzeniem w budynek szkoły. – Już ja ci pokażę...

A potem pojechał zebrać kolejną turę wiernych. Wróć, wyborców.

ROZDZIAŁ 4

Głosowanie przebiegło bez problemów. Dowodzik, wydanie karty do głosowania, do widzenia. To znaczy – pewien problem był. Jeden. Natury emocjonalnej. Sołtysa lekko ścisnęło bowiem w gardle, gdy patrzył na kolejkę osób stojących przed nim. Ile z nich zaznaczy jego nazwisko, a ile da się złapać na kielbasę z grilla? Przy każdych wyborach się denerwował, ale jeszcze nigdy tak jak teraz. Czy to coś znaczyło?

Od tego wszystkiego aż zaczęła go boleć głowa. Pokazał dowód osobisty, zaznaczył nazwisko, oczywiście swoje, i pełen złych przeczuc powiedział Halince, że wychodzą. Żona spojrzała na niego ze zdziwieniem – po raz pierwszy Jerzy nie chciał czekać na wyniki.

– A później się dowim – mruknął tylko, gdy spytała, dlaczego już chce iść. – Łepetyna mie napie... – Umilkł w samą porę, by uniknąć nieprzyjemności ze strony małżonki.

Kilka sekund później pogrążony we własnych myślach wpadł na Marcinka – i to dosłownie. Otworzył drzwi szkoły i tym razem zamiast puścić przodem Halinkę, o czym zawsze

pamiętał – nawet w stanie upojonej nietrzeźwości – po prostu wyszedł. I zderzył się z synem. Który go nie zauważył, ponieważ również był zamyślony. Obaj odskoczyli i jednocześnie otrząsnęli się z zadumy. Zmieszany ojciec obejrzał się na Halinkę, po czym popatrzył na równie zmieszanego Marcinka. I na Andżelikę, która przyglądała im się z odrobiną rozbawienia, ale i jakby niepewności. Serce Sołtysa drgnęło z niepokoju. Czyżby tych dwoje wcale nie zamierzało na niego głosować?

– Wy już po głosowaniu? – zapytał syn.

– Tak, już żeśmy byli, tera jedziem do dom, bo cosik źle się czuję – odparł Jurek, przestępując z nogi na nogę. – Halińcia ma wstawić udek do piekarnika, rosołek się zje na rozgrzanie. Zagłosujta i przychodźta. Tyko nie czekajta na wyniki, bo obiad wystygnie. – Uśmiechnął się z przymusem i dokończył: – Wieta, na kogo głosować?

Przez całą drogę dręczyła go myśl, że tak naprawdę po raz pierwszy, odkąd jego dziecko miało prawo głosu, nie wiedział, czy Marcinek wybierze właśnie jego.

Po powrocie do domu wymęczony krótkim, ale intensywnym wypadem do kościoła, zaległ w fotelu i wziął do ręki „Tele Tydzień” w celu wynalezienia czegoś na popołudnie. Halinka zajęła się przygotowywaniem obiadu. Ich niedzielną tradycją było zawsze wspólne spędzanie czasu. Kiedyś, za czasów Małysza i świetnej formy Stocha, rodzina oglądała skoki. Ba, podczas konkursów potrafiła nawet tak przeorganizować dzień, by nie przegapić żadnego przedskoczka. Oglądała też Kubicę w F1, jednak od jego wypadku zainteresowanie Jurka tym sportem zdecydowanie zmalało i z czasem zaprzestał oglądania wyścigów. Niezależnie jednak od pory roku z radością oglądał lub chociaż puszczał w tle filmy z Louisem de Funèsem, począwszy od wszystkich części

Żandarma po *Przygody rabina Jakuba*. Standardowo włączał też *Familiadę*, by porywalizować z rodziną w odgadywaniu haseł, a także *Złotopolskich* i *Szansę na sukces*, podczas której niejednokrotnie padał komentarz: „Eee, tak to i ja bym zaśpiewał. A może i lepiej!”. Nie mogło się też obyć bez wizyty w najlepszej placówce zdrowia na naszej planecie, czyli w szpitalu w Leśnej Górze z *Na dobre i na złe*. A po obowiązkowym *Teleexpressie* Jurek proponował zawsze podwieczorek, po którym małżonka robiła półmisek przepysznych kanapek.

Sołtys uwielbiał te rodzinne niedziele. Od kilku lat z sentymentem wspominał czasy, kiedy to Marcinek był mały i siedział z nimi w domu przed telewizorem. Ach, jakże mu tego brakowało. Przecież on Kubicę dla syna zaczął oglądać, żeby mieli jakąś wspólną pasję. No bo co to za frajda patrzeć na ścigające się auta? A bo to żadnego na własne oczy nie widział? Przecież każdego grata, którego ze szwagrem Zbyskiem ścigali od Niemca, testowali na drodze za torami na Krynkę. No ale teraz Marcinek to już kawaler jak się patrzy, weekendy spędza z panną, a nie z rodzicami, i chociaż Sołtys się cieszył, że syn układa sobie życie, to jednak czasem brakowało mu tamtych niedziel. Tym bardziej że w telewizji nie było nic ciekawego, a przynajmniej w dniu wyborów. Skakał z kanału na kanał, aż wreszcie zrezygnowany rzucił pilota na kanapę.

– Głowa ci już przeszła? – spytała Halinka, wchodząc do jadalni, a gdy ten przytaknął, dodała: – To chodź, mi pomożesz. Nakryjesz stół. Dziś Andżelika przychodzi, to zjemy tutaj.

Posłusznie wyciągnął z komody obrus i zaczął znosić z kuchni talerze oraz sztucce. Gdy przez okno wychodzące na podjazd dostrzegł Marcina z dziewczyną, natychmiast

pobiegł do sieni, bo nie był pewien, czy drzwi zostawił zamknięte, czy otwarte.

– Powiedz, żeby weszli do jadalni! – zawołała z kuchni Halinka. – Ja już zaraz rosółek nalewam!

Drzwi jednak były otwarte, ale i tak stanął w progu, jak przystało na porządnego gospodarza, i uśmiechnął się szeroko do Andżeliki.

Lubił pannę Marcinka. Dobra z niej była dziewczyna, a i ogarnięta bardziej od jego syna, który zaraz po maturze miał iść na studia, ale zrezygnował, bo mu koledzy nakładli głupot do głowy. „Co będziesz studiował, skoro i tak potem nie dostaniesz roboty?”, mówili, a ten gamoń posłuchał ich zamiast rodziców i teraz rozwoził pizzę w Łukowie. Sołtys ani Halinka nie narzekali, że wciąż mieszka z nimi, dostępu do łódówki też mu nie bronili i honorem się unieśli, gdy zapytał, czy ma się dokładać do rachunków. Od tamtej pory zapobiegawczo nie wracał do tematu i całutką mizerną pensję wydawał na głupoty. „Cała nadzieja w Andżelice”, powiedziała kiedyś Halinka. Sołtys przyznał jej rację. Istniała bowiem spora szansa, że przy niej Marcinek wreszcie dorośnie.

– W same porę! – zawołał ojciec, wpuszczając młodych do środka. – Matka właśnie rosół nalewa. Wchodźta, wchodźta.

Andżelika dygnęła w drzwiach i podała gospodarzowi plastikowy pojemnik z ciastem.

– Panie Jerzy, moi rodzice kazali państwu przekazać. Szarlotka do kawki, wczoraj mama robiła.

– Nie trzeba było – odparł, ale od razu uchylił wieczko i poczuł kuszący zapach. – Ale dziękuję, dziękuję. Wczoraj z Halinką żeśmy w sklepie byli, tośmy nakupili, bo czasu nie było piec, ale no, zje się i to. Po obiedzie się skroi do kawiny. Przypomnij mie potem, żebym kielbasy wam dał, bo

wczoraj od Zbyszka żeśmy dostali z daniela. Palce lizać! To sobie twoi rodzice też spróbują.

Zaniósł ciasto do kuchni i poszedł jeszcze przed obiadem do kibelka, „żeby miejsce zrobić”, jak zwykł kiedyś mawiać nawet przy gościach, za co tyle razy dostał od małżonki ścierką przez plecy, że wreszcie się oduczył – przynajmniej przy ludziach się pilnuje.

– Andżelika, ale ładnie wyglądasz w tym sweterku! – zawołała Halinka, wynurzając się z kuchni. Uśmiechnęła się serdecznie do wybranki syna. – Ślicznie ci w niebieskim.

– Dziękuję.

– Głodni? Marcin wybiegł dziś rano bez śniadania, to pewno już głodny, chyba że u ciebie albo na mieście co jadł... Nie daj Boże znowu te świństwa – dodała, kręcąc z dezaprobatą głową. – Te wasze kebaby czy inne burgery.

Halinka nie była zwolenniczką stołowania się na mieście – po pierwsze za drogo, po drugie nigdy tak dobrze jak w domu. Wyprawę do pizzerii jeszcze potrafiła zrozumieć, choć oni nie musieli nigdzie jeździć, bo Marcin czasami przywoził coś z pracy, ale już sieci fastfoodowe uważała za dzieło szatana.

– Nie, zjadł u mnie śniadanie – odezwała się Andżelika i nagle zmieszana opuściła wzrok. – No bo musieliśmy porozmawiać z moimi rodzicami... I w sumie z państwem też musimy.

Halinka nadstawiła uszu, ale wtedy właśnie do jadalni wkroczył Sołtys, już lżejszy, zapinając pasek od spodni.

– Ooo, rosołek. No to nalewajta sobie, nalewajta! Andżelika, Marcinek, no bierzcie, nie wstydzicie się – namawiał, kierując się na swoje miejsce u szczytu stołu, tuż pod wiszącym na ścianie obrazem *Ostatnia wieczerza*. – A co tam? – spytał,

bo żadne z nich nawet nie drgnęło, a matka wpatrywała się w nich wyczekująco. – Stało się coś? – dodał niepewnie i nagle coś mu się rozjaśniło w głowie. – Żenita się?

Nadal żadnej odpowiedzi. W końcu Andżelika szturchnęła łokciem chłopaka, matka przeniosła spojrzenie na niego, a ojciec pomyślał, że mieli rację: ich synowi trzeba było akurat takiej dziewczuchy.

– Nie – odparł Marcin i znów się zacukał. – To znaczy i nie, i tak – dodał po dłuższej chwili. – To znaczy... będziemy mieli dziecko! Andżelika jest w ciąży.

W jadalni zapadła cisza, którą przerwała dopiero Halinka, zrywając się z krzesła.

– Matko kochana, jak się cieszę! – zawołała. – Marcinek, Andżelika! Co za radosne wieści! Chodź, kochana, niech cię wyściskam. Promieniejesz w ciąży! Ja to nie dalej jak tydzień temu do Jurka mówiłam: „Ale ta Andżelika ślicznie ostatnio wygląda”, a tu taka nowina! Jak się cieszę! No, Jurek, wstań! Co ty, nie cieszysz się?

To było trudne pytanie. No bo z jednej strony się cieszył, jak pomyślał o wnukach, z którymi będzie mógł oglądać telewizję w niedziele, ale z drugiej miał dopiero pięćdziesiąt lat i już miał zostać dziadkiem? No a z trzeciej – jak oni sobie teraz poradzą? Rodzina to jednak obowiązki, do tego trzeba mężczyzny, a nie... Kochał syna, kochał go z całego serca, ale przecież wiedział, że to gamoń.

– No jak się nie cieszę, skoro się cieszę – powiedział, również wstając od stołu. – Synu, teraz będziesz głową rodziny, zobaczysz, jak to jest być za kogoś odpowiedzialnym. Skończy ci się dobre i sielanka, zaczną się obowiązki. No nie ma żartów, powiedziało się A, trzeba powiedzieć też...

Halinka dała mu kuksańca.

– Oj, już nie smęć! Chodź, synku, ciebie też wyściskam. Ależ radość!

Nie obyło się bez łez, dalszych uścisków i głośnych zachwyków ze strony matki. Na twarzy Marcina malowała się głównie ulga, Andżelika zaś uśmiechała się promiennie do przyszłej babci i atmosfera w domu jak ulał przypominałaby tę z niedzielnego serialu na Dwójce, gdyby nagle Sołtys nie wyszedł z pokoju bez słowa.

– Pan Jerzy chyba się zdenerwował – stwierdziła przestraszona dziewczyna, ale Halinka machnęła ręką, żeby się nim nie przejmować, po czym zasypała ich pytaniami o płeć dziecka, imię, przygotowania, samopoczucie i poranne mdłości. Z tego wszystkiego nawet nie zauważyli, jak Sołtys wparował z powrotem do jadalni. W rękę trzymał butelkę koniaku.

– Słuchajta, taka nowina, to musimy opić! To mój najlepszy koniak! Żem go kiedy dostał jeszcze od poprzedniego wójta. Ponoć drogi, to na kiedy, jak nie na dziś! Halińcia, szykuj szkło!

Po nagłym wyjściu ojca Marcinek wyglądał tak, jakby bardzo potrzebował tego koniaku.

– Już myślałem, że się nie cieszysz – powiedział cicho, gdy Sołtys zmagął się z korkiem.

– No jak się nie cieszę?! Czekaj, zara siądziem i coś się pogada. Młode jesteście, to się wam pomoże i jakoś się ułoży, synek.

Z koniakiem w rękę nabrał pewności, że tak właśnie będzie – wszystko się ułoży, tylko najpierw musiał się dobrać do tego cholerstwa. U nich w domu takich trunków się nie pijało – jak już, to bimber od szwagra, bo ten to miał rękę do tego, jak mało kto, ale przecież taka okazja nie zdarza się często. „Wnuki”, pomyślał Sołtys i zniecka poczuł, jak szklą mu

się oczy. Odchrząknął, by ukryć wzruszenie, i znów zaatakował butelkę. Nie chciała się poddać.

Halinka przyniosła specjalne kieliszki – co prawda jakieś małe i srebrne, raczej do wina niż do koniaku, ale kto by tam na to patrzył. Postawiła je na stole, zerknęła na Jurka i natychmiast dostrzegła to, co ten na próżno starał się ukryć. Chętnie by go teraz wyściskała, ale zamiast tego dała mu chwilę, żeby zdążył się ogarnąć.

– Powiedz, kochana, jak twoi rodzice zareagowali – zwróciła się do przyszłej synowej.

– Ucieszyli się, chociaż byli trochę w szoku – przyznała dziewczyna. – Myśleli, że może pójdę na jakieś studia zaoczne od przyszełego roku, ale no...

– A co tam te studia tera – wtrącił Sołtys, zapanowawszy wreszcie nad wzruszeniem, choć jeszcze nie nad butelką. – Kiedyś studia co znaczyli, a tera to każdy może mieć, to tyko papier. O, medycyna czy prawo jeszcze może co znaczy, ale zarządzanie jakie czy inny marketing toż to czorta warte. Każden tera by chciał tyko zarządzać nie wiadomo czym, a robić to nie ma komu.

– Mówi pan dokładnie jak mój tata.

– A zresztą, jaki to problem se potem studia zrobić. Brzdą podrośnie trochę, to na jakie zaoczne do Siedlec czy do Lublina, a może nawet i do Warszawy pójdziesz. Busy i pociągi to co chwilę jeżdżą. Trza się cieszyć! Aby zdrowe było! – dodał, po czym wcale się nie ciesząc, spojrział na butelkę koniaku. – No patrz, jak się zassało cholerstwo jebane!

– Jurek! – zmytygowała go małżonka, a on tylko wzruszył ramionami.

– No co, człowiek niezwyčajny do tych zagramanicznych trunków, to i otworzyć nie może.

W końcu jednak się udało i Sołtys polał. Z tego wszystkiego nawet Andżelice, bo biesiadne maniery miał w jednym paluszku i nie omijał żadnego kieliszka, a matula z emocji, że zostanie babcią, przyniosła z rozpędu cztery. Przynajmniej pamiętała o tym, żeby je choć przetrzeć, bo – jak to zestaw „na specjalne okazje” – stały tylko i się kurzyły. Ojciec jednak skapnął się, że polał za dużo, i by nie popełnić „fopa”, ulał z jednego trochę sobie, a trochę Marcinkowi, reszta zaś wyładowała na świątecznym obrusie, czego na szczęście zajęta przepytywaniem Andżeliki Halinka nawet nie zauważyła. Zakrył więc szybko płamę serwetką i wstał, aby wznieść toast.

– No, to za moją wnusią albo wnuczka!

– Najlepszego, kochani! Ależ nowina! – dodała wzruszona żona.

Trunek chyba nie bardzo przypadł im do gustu, bo zarówno ojciec, jak i Marcinek skrzywili się niczym po najtańszej berbelusze od skąpego sąsiada.

– He-n-ne-s-sy – przeliterował ojciec, oglądając butelkę. – Pewno jakie francuskie, cholera wie. Wójt mówił, że dobre, ale dla mnie to na myszach pędzone... Polać ci jeszcze jednego, Marcinek? Bo ja to chyba wolę czystą.

Marcinek uznał, że może da radę z dolewką coli, która już czekała przy nodze od stołu.

Kiedy trunki zostały wymienione tudzież zmodyfikowane, Sołtys przeszedł do konkretów.

– Dobra, proszę młodzieży, to co planujeta? Bo to niby dziewięć miesięcy, ale zleci moment. Gdzie zamierzata mieszkać po ślubie? Bo chyba w takiej sytuacji to ślub planujeta? I kiedy zamie...

– Tak – przerwał mu syn. – Jak tylko się dowiedziałem, poprosiłem Andżelikę o rękę. Pierścionka jeszcze nie ma, ale

kupię. A ślubu i wesela oczywiście chcemy, ale to dużo kasy i na razie nie wiemy, kiedy. Najpierw trzeba zająć się wyprawką dla dziecka, no a skądś musimy na to wziąć. Może jakiś kredyt?

Tu urwał znacząco i zerknął na matkę.

– Oj, przecież wam pomożemy na początek – podjęła Ha-linka i zerknęła na ojca. – Jurek, no powiedz im, że pomożemy.

– Ano toć pewnie, że się pomoże. Przecie górę się wam wyremontuje i możecie u nas pomieszkać, a z czasem się do-robota i pójdzieta na swoje. Nikt was stąd przeganiać przecie nie będzie.

Najwyraźniej wszyscy zebrani w jadalni czekali na tę deklarację – włącznie z samym Sołtysem, który gdy tylko wypowiedział te słowa, natychmiast poczuł, jak wstępują weń nowe siły. Teraz to mógłby nawet ruszyć prosto do Grochowskiego i powiedzieć mu w twarz, co myśli o nim i jego nieczystych zagrywkach. A proboszcza to...

– Naprawdę możemy u państwa? – zapytała Andżelika takim głosem, jakby nie wierzyła we własne szczęście. – Bo właśnie mieszkanie najbardziej nas niepokoi. Moi rodzice chętnie by nas przyjęli, ale u nas są tylko czterdzieści cztery metry, a jeszcze mam młodszego brata i... No, nie pomieścilibyśmy się tam. Z ceną za wynajem w Łukowie to chyba poszaleli, a o kupnie już nawet nie mówię, bo na razie to nierealne.

– Ano toż pewnie! – zawołał Sołtys, w którego po czystej wstąpiły siły dodatkowe, tak że góry mógłby przenosić. – Pięterko się wam robi, łazienka u nas pewnie większa, jak u twoich rodziców, oddzielne sypialnie, to i komfortu więcej. Bez dyskusji. – Podniósł kieliszek do toastu, jakby przyklepując swoje słowa. – Tyko tera trzeba będzie Marcinka dzie wkręcić do normalnej roboty.

- Przecież ja mam pracę – oburzył się syn.
- Rozwożeniem pizzy rodziny nie wykarmisz!
- Jurek... – Matka zmierzyła go wzrokiem.
- Co „Jurek”?! A to ja dla niego chcę źle?

Marcin zwiesił głowę.

– Porozglądam się za czymś – mruknął zrezygnowany. – Ale sam wiesz, jak jest ciężko o jakąś lepszą robotę.

Sołtys wiedział, w tym stanie ducha mógł jednak naprawdę wszystko.

– Czekaj, podjadę jutro do gminy na kawinę z wójtem, to się pogada. Tam to co chwilę jakie mają projekty, dotacje z Unii, budżety, to się ciebie wkręci do jakiego programu „czyste powietrze” czy inny czort i tam biedy mieć nie będziesz.

Marcinek posłał Andżelice niepewne spojrzenie, a ta jedynie nieznacznie pokręciła głowę. Uszło to oczywiście uwadze Sołtysa, ale nie Halinki. Już zamierzała spytać, o co chodzi, ale syn ją ubiegł.

– Tato, ja się na tym nie znam – powiedział cicho. – Nie wiem, czy sobie poradzę.

Ojciec przewrócił oczami. Sam nie wiedział, w kogo wdał się jego synek, ale jedno było pewne: życia to on nie znał.

– Młody jesteś, to się nauczysz – odparował. – A to myślisz, że Marka Świdra żona coś się znała? Całe życie w sklepie w Trzebieszowie za ladą stała, też ani studiów, ani języka. Ja to nie wiem, czy ona w ogóle maturę ma, ale Marek wkręcił ją do gminy, wódki z wójtem popił i fucha się znalazła. A tera to pani sekretarz pełną gębą i na jakie studium ekonomiczne się zaocznie zapisała do Siedlec. A już pod czterdziecę wtedy miała. Z ciebie młody żbik, za parę lat wójtem zostać możesz. Sam bym się w tej gminie zakręcił, ale ja to już stary, mie się już nie chce.

Syn wyglądał, jakby jemu również się nie chciało, ale miał na tyle rozsądku, by nie wypowiedzieć tego na głos.

– Marcin sobie poradzi – odpowiedziała za niego Andżelika, szturchając przy tym narzeczonego w żebra.

Sołtys kontent z tego, że synkowi taka rozgarnięta kobita się trafiła – jak, nie przymierzając, jemu Halinka – rozochocony złapał matkę za boczek. Z miłości rzecz jasna, jednak matka miała na ten temat inne zdanie.

– Oj, stare to i głupie – sarknęła zażenowana. – Ponapijało się i się popisuje.

– Dobra, synek, nic się nie martw, z tatusiem nie zginiesz. – Ojciec podniósł kieliszek do kolejnego toastu. – A tera może już jedzmy, bo żem zgłodniał od tych emocji.

Halinka zerwała się od stołu, nagle przypomniawszy sobie o obowiązkach gospodyni.

– Ale to już zimne! Przygrzeję nowego rosółu, nie będziem zimnego jedli.

Kiedy z wazą w rękach ruszyła do kuchni, Sołtys rozparł się wygodniej na krześle. Przyczesał dłonią blond włosy poprzetykane tu i ówdzie siwizną, przy czym ominął zakola oraz łysy czubek, żeby nie psuć sobie nastroju, i był taki szczęśliwy, że nawet zapomniał o tych całych wyborach i świństwach, które dziś usłyszał od proboszcza i Grochowskiego. Swoją drogą przyczyniło się do tego również kilka kieliszków, bo o ile na innych alkohol działał pobudzająco i aż rwali się do bitki, o tyle jego zawsze rozluźniał. Do tego stopnia, że po *Teleexpressie*, gdy młodzi poszli na górę do pokoju Marcinka, żeby Andżelika sobie odpoczęła, powiedział nawet do Halińci: „A powiem ci, że już mam dzieś te wybory. Jak se tam chcą. Ja to mogę i przegrać! Spokoju chociaż trochę będzie”.

Małżonka pokiwała głową ze zrozumieniem, chociaż dobrze wiedziała, że Jurek sam nie wierzy w te słowa. Po tym, co usłyszała dziś podczas obiadu, po raz pierwszy w życiu liczyła, że jej mąż dalej będzie sołtysem. Wszak ich syn zakładał rodzinę, potrzebował pomocy, a ojciec sołtys mógł znacznie więcej niż ojciec Sołtys.

„Tak, byłoby dobrze, gdyby wygrał”, pomyślała i w tej intencji zmówiła w duchu zdrowaśkę, gdy Jurek kimał na kanapie. Tyle że nawet modlitwa nie zdołała zagłuszyć złego przecucia, które towarzyszyło jej od kilku godzin, a konkretnie od kazania proboszcza.